



KEN  
FOLLETT  
TRÓJKA

---

## Prolog

---

Los zrządził, że tylko raz spotkali się wszyscy w jednym miejscu. Byli młodzi i upłynęło wiele lat, zanim wydarzyła się cała ta historia. Wtedy jeszcze nie mogli wiedzieć, jaki ślad to spotkanie odcisnie na ich życiorysach.

Dokładnie w pierwszą niedzielę listopada 1947 roku każdy z nich miał okazję poznać wszystkich pozostałych. Przez kilka minut przebywali w tym samym pokoju. Jedni niebawem zapomnieli twarze i nazwiska osób, z którymi wówczas rozmawiali, innym ten dzień w ogóle nie pozostał w pamięci. Kiedy jednak dwadzieścia jeden lat później okazał się tak ważny, udawali, że pamiętają. Wpatrywali się w wyblakłe fotografie, mrużąc: „Ach tak, oczywiście”.

Do spotkania doszło wskutek zbiegu okoliczności, w czym nie ma nic osobliwego. Byli młodzi i zdolni, toteż władza, podejmowanie decyzji i naprawianie świata stanowiły ich przeznaczenie, choć każdy miał je realizować w odmienny sposób, bo każdy pochodził z innego kraju. Nic też dziwnego, że spotkali się na Uniwersytecie Oksfordzkim. Ale po latach, gdy wydarzyło się to wszystko, okazało się, że w całą tę sprawę zostały uwikłane osoby właściwie zupełnie sobie obce,

a jedynym tego powodem było to, że niegdyś zetknęły się w Oksfordzie.

W każdym razie spotkanie to nie było ważnym wydarzeniem historycznym. Zwyczajne party z winem w domu, w którym wydawano wiele podobnych przyjęć (nie tylko z winem; mogliby coś o tym powiedzieć starsi studenci). Okoliczność może niewarta wzmianki, ale niezupełnie.

Al Cortone zastukał w drzwi i czekał, spodziewając się właściwie ujrzeć w nich nieboszczyka.

W ciągu trzech ostatnich lat utwierdzał się coraz bardziej w przekonaniu, że jego przyjaciel nie żyje. Najpierw dowiedział się, że Nat Dickstein dostał się do niewoli. W miarę jak cichły odgłosy wojny, słyszało się coraz więcej opowieści o losie Żydów w niemieckich obozach koncentracyjnych. A kiedy wojna się skończyła, ponura prawda o straszliwych zbrodniach nazistów wreszcie wyszła na jaw.

Duch za drzwiami zaszurał krzesłem po podłodze i przeszedł przez pokój.

Cortonego obleciał strach. Co będzie, jeśli Dickstein okaże się kaleką? Albo ma oszpeconą twarz? Albo zwariował? Cortone nigdy nie wiedział, jak się odnosić do kalek i czubków. W 1943 roku on i Dickstein w ciągu kilku dni stali się sobie bardzo bliscy, ale jak jego dawny towarzysz wygląda teraz?

Drzwi się otworzyły.

— Cześć, Nat — powiedział Cortone.

Dickstein wytrzeszczył oczy, ale zaraz na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

— Plery, nery, cynadery — powitał kumpla jednym ze swoich zabawnych knajackich powiedzonek.

Włoch z ulgą odwzajemnił uśmiech. Podali sobie ręce, pokleпали się po ramionach, wymienili kilka soczystych uwag w surowym żołnierskim języku i weszli do środka.

Mieszkanie Dicksteina znajdowało się w starym domu, położonym w zniszczonej przez bombardowanie części miasta, i składało się z jednego niewiarygodnie wysokiego pokoju. Stało tam proste łóżko, schludnie, po wojskowemu załane, ciężka stara szafa z ciemnego drewna, serwantka z tego samego kompletu oraz założony książkami stół pod niewielkim oknem. Pokój nie wyglądał przytulnie. Gdyby Cortone miał tu zamieszkać, zabrałby ze sobą trochę drobiazgów, dzięki którym mógłby się poczuć jak u siebie: fotografie członków rodziny, pamiątki z Niagary i Miami Beach, a także trofea sportowe z licealnych czasów.

— Bardzo chciałbym wiedzieć, jak ci się udało mnie odnaleźć — mruknął Dickstein.

— Nie było to łatwe. — Cortone zdjął wojskową kurtkę i położył ją na wąskim łóżku. — Zajęło mi to prawie cały wczorajszy dzień. — Spojrzał na klubowy fotel. Jego poręcze były pokrzywione, spośród wyblakłych chryzantem obicia wystawała sprężyna, a pod brakującą nogę podłożono tom *Teajteta* Platona. — Czy ludzie mogą na czymś takim siedzieć? — zapytał.

— Nie wyżsi stopniem od sierżanta. Ale...

— Ale tamci nie są ludźmi.

Obaj wybuchnęli śmiechem. Stary dowcip. Dickstein odsunął krzesło i usiadł na nim okrakiem. Przez chwilę uważnie wpatrywał się w przyjaciela.

— Utyłeś!

Cortone poklepał się po brzuchu.

— We Frankfurcie żyje nam się całkiem nieźle. Dużo straciłeś, że przeszedłeś do cywila. — Pochylił się do przodu i ściszył głos, jakby chodziło o jakąś tajemnicę: — Zbiłem majątek. Biżuteria, porcelana, antyki, wszystko za papierosy i mydło. Niemcy głodują. A za rogalika dziewczyny zrobią ci wszystko.

Wyprostował się w oczekiwaniu na kolejny wybuch śmie-

chu, ale twarz Dicksteina pozostała nieruchoma. Zbity z tropu Cortone zmienił temat:

— Ale o tobie nie da się powiedzieć, że jesteś za gruby.

Początkowo widok Dicksteina całego, zdrowego i uśmiechniętego sprawił mu taką wielką ulgę, że nie przyjrzał się bliżej przyjacielowi. Teraz jednak uświadomił sobie, że Nat Dickstein jest bardziej niż chudy: jest wycieńczony. Przedtem także nie mógł imponować wzrostem ani budową ciała, ale nigdy nie wyglądał jak szkielet. Wrażenie to pogłębiała jeszcze trupio blada cera i wielkie brązowe oczy za okularami w plastikowej oprawie. No i kawałek łydki, widocznej między skarpetką a nogawką, białej i cienkiej jak zapałka. Cztery lata temu Dickstein był śniady, sprężysty i mocny niczym skórzane podeszwy butów, w które wyposażyła go brytyjska armia. Gdyby Cortone miał go scharakteryzować po swojemu, powiedziałby: „To najmniejszy, ale najtwardszy i najbardziej zawzięty ze skurwysynów, którzy ratowali moje zasrane życie”.

— Za gruby? Pewnie, że nie — odparł Dickstein. — Ten kraj wciąż żyje na żelaznych racjach. Ale jakoś sobie radzimy.

— Nie jadłeś najlepiej...

— Ale jadłem — uśmiechnął się Dickstein.

— Dostałeś się do niewoli.

— W La Molina.

— Jak cię, do diabła, dopadli?

— Pocisk strzaskał mi nogę — odparł Dickstein, wzruszając ramionami. — Straciłem przytomność. Ocknąłem się w niemieckim wagonie.

Cortone spojrział na nogi przyjaciela.

— Dobrze złożona?

— Miałem szczęście, w pociągu dla jeńców był medyk i nastawił kości.

Włoch pokiwał głową.

— A potem w obozie...? — Pomyślał, że może nie powinien o to pytać, ale chciał wiedzieć.

Dickstein umknął spojrzeniem w bok.

— Było w porządku, dopóki nie odkryli, że jestem Żydem. Może herbaty? Niestety, nie stać mnie na whisky.

— Nie, dzięki. — Cortone najchętniej w ogóle by się więcej nie odzywał. — A co do whisky, rano już jej nie pijam. Życie wcale nie jest takie krótkie, jak się zdaje.

Dickstein znów podniósł wzrok.

— Postanowili sprawdzić, ile razy można złamać nogę w tym samym miejscu i na powrót ją złożyć.

— O Jezu... — wymamrotał Cortone.

— To jeszcze było najlepsze ze wszystkiego — stwierdził Dickstein beznamiętnie. Znów spojrzął gdzieś przed siebie.

— Skurwysyny — syknął Cortone. Nic innego nie przychodziło mu do głowy. Twarz Dicksteina nabrała jakiegoś obcego wyrazu, którego Cortone nigdy przedtem u niego nie widział. Po chwili uprzytomnił sobie, że maluje się na niej lęk. Dziwna sprawa, przecież najgorsze już się skończyło, pomyślał. — No dobra, do licha, w końcu wygraliśmy, no nie? — powiedział i klepnął przyjaciela po plecach.

Dickstein uśmiechnął się.

— Wygraliśmy. Ale powiedz wreszcie, co robisz w Anglii i jak mnie odnalazłeś?

— W drodze do Buffalo załatwiłem sobie postój w Londynie. Byłem w Ministerstwie Obrony... — Cortone zawahał się. Poszedł specjalnie do ministerstwa, żeby zasięgnąć informacji o okolicznościach śmierci Dicksteina. — Dali mi adres na Stepney. A tam zastałem tylko jeden dom na całej ulicy. I w tym domu spod calowej warstwy kurzu odgrzebałem tego starca...

— Tommy'ego Castera?

— Zgadza się. Kiedy wypilem dziewiętnaście filiżanek cienkiej herbaty i wysłuchałem historii jego życia, skierował mnie do innego domu, w którym odszukałem twoją matkę, wypilem jeszcze więcej cienkiej herbaty i wysłuchałem jej biografii. Gdy wreszcie dostałem twój adres, było za późno, żeby zdążyć na ostatni pociąg do Oksfordu. Poczekałem do

rana i oto jestem. Mam tylko parę godzin, mój statek jutro odpływa.

— Zdemobilizowali cię?

— Trzy tygodnie, dwa dni i dziewięćdziesiąt cztery minuty temu.

— Co zamierzasz robić po powrocie?

— Prowadzić rodzinny interes. Ostatnie lata przekonały mnie, że niezły ze mnie biznesmen.

— A czym się zajmuje twoja rodzina? Nigdy mi o tym nie mówiłeś.

— To firma przewozowa — odparł Cortone. — A ty? Co z tym Oksfordem? Na miłość boską, studiujesz coś?

— Literaturę hebrajską.

— Żartujesz!

— Pisałem po hebrajsku, zanim poszedłem do szkoły. Nigdy ci nie mówiłem? Mój dziadek był prawdziwym uczonym. Mieszkał w jednym śmierzącym pokoju nad sklepem z plackami przy Mile End Road. Odkąd pamiętam, chodziłem tam w każdą sobotę i niedzielę. Nigdy się nie uskarżałem... lubiłem to. Cóż innego mógłbym studiować?

Cortone wzruszył ramionami.

— Czy ja wiem, może fizykę jądrową albo zarządzanie. Po co w ogóle studiować?

— Żeby być szczęśliwym, mądrym i bogatym.

Cortone pokręcił głową.

— Jak zawsze tajemniczy. Dużo tu dziewczyn?

— Bardzo mało. Poza tym jestem zbyt zajęty.

Cortone zauważył, że Dickstein się rumieni.

— Łżesz, dupku. Chcesz, to ci powiem: zakochałeś się. Kim ona jest?

— No dobrze, masz rację — odparł zmieszany Dickstein. — Ale ona jest nieosiągalna. To żona profesora. Egzotyczna, inteligentna... najpiękniejsza kobieta, jaką w życiu widziałem.

Cortone popatrzył na niego.

— To nie wygląda obiecująco, Nat.

— Wiem, ale jednak... — Dickstein wstał z krzesła. — Sam się przekonasz, co mam na myśli.

— Zobaczą ją?

— Profesor Ashford wydaje party. Jestem zaproszony. Wybierałem się tam właśnie, kiedy wpadłeś. — Włożył marynarkę.

— Party w Oksfordzie! — ucieszył się Cortone. — Będę się miał czym chwalić w Buffalo!

Był chłodny, jasny poranek. Białe słońce ślizgało się po kremowych elewacjach starych budynków. Szli w milczeniu, z rękami w kieszeniach, skuleni, bo po ulicach hulał listopadowy wiatr.

— Architektura, kurwa, jak z bajki — mruknął pod nosem Cortone.

Przechodniów prawie nie było, ale gdy uszli mniej więcej milę, Dickstein wskazał Cortonemu wysokiego mężczyznę w szaliku o barwach jednego z college'ów wokół szyi, idącego drugą stroną ulicy.

— To Rosjanin — powiedział i zawołał: — Hej, Rostow!

Tamten odwrócił się, pomachał ręką na powitanie i przeszedł na ich stronę ulicy. Miał włosy ostrzyżone jak rekrut, a jego ubranie — tanie, konfekcyjne i zbyt obszerne — wisiało na nim jak na wieszaku. Cortone gotów był pomyśleć, że w tym kraju wszyscy są tacy chudzi.

— Rostow z Balliol, z tego samego college'u co ja — wyjaśnił Dickstein. — Dawidzie Rostow, poznaj Alana Cortonego. Al i ja byliśmy razem jakiś czas we Włoszech. Idziesz do Ashfordów?

Rosjanin uroczyście skinął głową.

— Za kielicha jestem gotów na wszystko.

— Czy pan też zajmuje się literaturą hebrajską? — zapytał Cortone.



— Nie — odparł Rostow. — Jestem tu po to, aby studiować ekonomię burżuazyjną.

Dickstein zaśmiał się głośno, ale Cortone nie widział w tym nic zabawnego.

— Rostow jest ze Smoleńska — poinformował go Dickstein. — Należy do KPZR — Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego.

Cortone nadal nie dostrzegał w tym niczego śmiesznego.

— Sądziłem — powiedział — że w Rosji nikomu nie wolno wyjeżdżać za granicę.

Rostow wdał się w długie i mętne wyjaśnienia, z których miało wynikać, że jego ojciec był dyplomatą i w chwili wybuchu wojny przebywał w Japonii. Tym wywodom towarzyszył od czasu do czasu przebiegły uśmieszek. Choć Rosjanin nie mówił biegle po angielsku, w jego głosie słychać było ton protekcyjnej wyższości. Cortone przestał go słuchać i wrócił myślą do Dicksteina. Jak to możliwe — rozważał — kochasz kogoś jak brata, razem z nim przelewasz na wojnie krew, a potem on znika, by studiować literaturę hebrajską, ty zaś dochodzisz do wniosku, że tak naprawdę zupełnie go nie znałeś.

— Czy zdecydowałeś się już na wyjazd do Palestyny? — zapytał Rostow Dicksteina.

— Do Palestyny? Po co? — zdziwił się Cortone.

Dicksteina pytanie Rostowa wyraźnie speszyło.

— Nie, nie zdecydowałem się.

— A powinienesz — oświadczył Rostow. — Państwo żydowskie może pomóc w demontażu resztek imperium brytyjskiego na Bliskim Wschodzie.

— Czy taka jest linia partii? — zapytał Dickstein z bladym uśmieszkiem.

— Owszem — odparł poważnie Rostow. — Jesteś socjalistą...

— W pewnym sensie.

— ...a państwo żydowskie powinno być socjalistyczne. To istotna sprawa.

Cortone słuchał tego z niedowierzaniem.

— Arabowie mordują tam Żydów. Na miłość boską, Nat, dopiero co wyrwałeś się z łap Niemców.

— Nie podjąłem jeszcze decyzji — powtórzył Dickstein z lekką irytacją. — Nie wiem, co zrobię. — Wydawało się, że nie ma ochoty dłużej o tym mówić.

Przyspieszyli kroku. Cortonemu zmarzła twarz, ale pocił się w zimowym mundurze. Dickstein i Rostow dyskutowali o pewnym haniebnym wydarzeniu. Niejaki Mosley — Cortone pierwszy raz słyszał to nazwisko — przyjechał do Oxfordu, by wygłosić przemówienie na cześć ofiar wojny. Jak się później okazało, był faszystą. Według Rostowa incydent ten dowodził, że demokracja burżuazyjna bliższa jest faszyzmowi niż komunizmowi. Dickstein nie był tak zasadniczy; jego zdaniem studentom, którzy zorganizowali to spotkanie, zależało po prostu na wywołaniu mocnego wrażenia.

Cortone słuchał i obserwował obu mężczyzn. Osobliwa była z nich para: tyczkowaty Rostow w szaliku przypominającym pasiasty bandaż, stawiający wielkie kroki w kuszach spodniach o nogawkach powiewających jak chorągiewki — a obok niewysoki Dickstein o wielkich oczach, w okrągłych okularach i ubraniu z demobilu, chudy jak szkielet i ruchliwy. Cortone nie był intelektualistą, ale miał ucho wyczułone na wciskanie kitu. Obaj nie mówili szczerze tego, co myślą. Rostow używał sformułowań zaczerpniętych wprost z oficjalnych dogmatów, a Dickstein usiłował niefrasobliwym tonem zamaskować różnice zdań, ale kiedy śmiał się z Mosleya, przypominało to śmiech dziecka po nocnym koszmarze. Prowadzili dyskusję zręcznie, choć bez większego zaangażowania — przypominało to pojedynek szermierczy na stępione szpady.

Dickstein spostrzegł wreszcie, że Cortone się nie odzywa, zaczął więc opowiadać o gospodarzu przyjęcia.

— Stephen Ashford jest może trochę ekscentryczny — powiedział — ale to naprawdę nietuzinkowy człowiek. Większość życia spędził na Bliskim Wschodzie. Miał niewielki kapitał, który przepuścił co do grosza. Odważył się nawet wyruszyć w podróż na wielbłądzie przez całą Pustynię Arabską.

— To wcale nie takie straszne szaleństwo — zauważył Cortone.

— Żona profesora jest Libanką — wtrącił Rostow. Cortone spojrział na Dicksteina.

— Ona jest...

— Jest młodsza od niego — dokończył pospiesznie Dickstein. — Ashford przywiózł ją do Anglii tuż przed wojną i objął katedrę na wydziale semitystyki. Jeśli poda ci marsalę zamiast sherry, będzie to znak, że pora się żegnać.

— A goście o tym wiedzą? — zapytał Cortone.

— Jesteśmy na miejscu — oznajmił Dickstein, ignorując to pytanie.

Cortone był prawie pewien, że dom okaże się mauretańską willą. Ujrzał jednak imitację stylu elżbietańskiego: białe ściany i zielone belkowanie. Ogród od frontu przypominał dżunglę. Trzej młodzi ludzie doszli do domu wyłożoną kamiennymi płytami dróżką. Zastali uchylone drzwi, które prowadziły do prostokątnego hallu. Z głębi domu dobiegał śmiech: przyjęcie już się zaczynało. Salon znajdował się za dwuskrzydłowymi drzwiami, które w tym momencie się rozwarły i ukazała się w nich najpiękniejsza kobieta na świecie.

Cortone znieruchomiał. Pożerał ją wzrokiem, kiedy się zbliżała, by ich powitać.

— To mój przyjaciel, Alan Cortone — usłyszał głos Dicksteina i poczuł dotyk jej smukłej, śniadej ręki, ciepłej, suchej i drobnej. Nie miałyby nic przeciwko temu, żeby trwało to wiecznie.

Ale kobieta odwróciła się i wprowadziła ich do salonu.

Dickstein szturchnął Cortonego w ramię i wyszczerzył zęby w uśmiechu. Dobrze wiedział, co dzieje się w duszy przyjaciela.

Cortone wymamrotał:

— O rany!

Na małym stole, w szeregu, z wojskową precyzją ustawiono niewielkie kieliszki z sherry. Kobieta podała jeden Cortonemu.

— Jestem Eila Ashford — przedstawiła się z uśmiechem.

Cortone przypatrywał jej się z uwagą, kiedy rozdawała drinki. Jej uroda nie potrzebowała upiększeń: żadnego makijażu, proste czarne włosy, biała suknia i sandały. W pewnym sensie ta kobieta była jakby naga i Cortone poczuł się skrępowany, ponieważ kiedy na nią patrzył, budziło się w nim zwierzę.

Sporo go kosztowało, by oderwać od niej oczy i rozejrzeć się wokół. Salon urządzony był elegancko, ale bez dbałości o szczegóły, co jest typowe dla ludzi, którzy — wedle własnego mniemania — żyją na pewnym poziomie. Na obrzeżach kosztownego perskiego dywanu widać było podłogę pokrytą szarym linoleum; na stoliku stało radio, które ktoś najwyraźniej naprawiał, bo na blacie były porozrzucone części aparatury; na tapetach odcinały się prostokąty po zdjętych obrazach; kilka kieliszków z sherry nie pasowało do kompletu. Co zaś do gości — było ich tutaj około tuzina.

Jakiś młody Arab w eleganckim perłowoszarym garniturze oglądał drewniane rzeźby ustawione na gzymsie kominka. Eila Ashford zawołała go.

— Chcę wam przedstawić Jasifa Hasana. To przyjaciel moich rodziców — powiedziała. — Studiuje w Worcester College.

— Znam Dicksteina — odparł Hasan i przywitał się ze wszystkimi.

Cortone pomyślał, że jest całkiem przystojny jak na Araba. I wyniosły — jak każdy Arab, który zarobił trochę forsy i bywa zapraszany przez białych.

— Pan z Libanu? — zapytał go Rostow.

— Z Palestyny.

— O! — ożywił się Rostow. — I co pan sądzi o oenzetowskim planie podziału Palestyny?

— Jest bez sensu — odrzekł tamten, cedząc słowa. — Brytyjczycy muszą odejść, a wtedy mój kraj stanie się demokratycznym państwem.

— Ale wówczas Żydzi będą mniejszością — zauważył Rostow.

— W Anglii też są mniejszością. Czy to oznacza, że powinni otrzymać Surrey i urządzić tam własne państwo?

— Surrey nigdy do nich nie należało, w przeciwieństwie do Palestyny.

Hasan wzruszył ramionami.

— To było wtedy, gdy Anglią rządząli Walijszczy, Niemcami Anglicy, a Skandynawię zamieszkiwali francuscy Normanowie. — Odwrócił się do Dicksteina. — Pan ma poczucie sprawiedliwości. Co pan o tym sądzi?

Dickstein zdjął okulary.

— Mniejsza o sprawiedliwość. Chciałbym mieć takie miejsce, które mógłbym nazwać swoim własnym.

— Nawet gdyby musiał pan zabrać mi moje?

— Do pana może należeć cała reszta Bliskiego Wschodu.

— Ale ja jej nie chcę.

— Ta dyskusja dowodzi, że podział jest nieunikniony — uciał Rostow.

Kiedy spierali się o Palestynę, Eila Ashford otworzyła paczkę papierosów. Cortone wziął jednego i podał Eili ognia.

— Długo pan zna Dicksteina? — spytała.

— Spotkaliśmy się w tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim roku — odparł, obserwując jej ciemne wargi z papierosem. Nawet palić potrafiła pięknie.

— On mnie bardzo interesuje — powiedziała i delikatnie zdjęła okruszek tytoniu z czubka języka.

— Dlaczego?

— Nie tylko mnie. To przecież jeszcze chłopiec, choć wygląda tak staro. Poza tym pochodzi z klasy średniej, a bynajmniej nie onieśmiałają go ci wszyscy Anglicy z wyższych sfer.

Cortone pokiwał głową.

— Właśnie stwierdziłem, że tak naprawdę go nie znam.

— Mój mąż uważa go za świetnego studenta.

— Nat uratował mi życie.

— Dobry Boże! — Eila Ashford uważnie przyjrzała się Cortonemu. Była zdumiona, że okazał się taki sentymentalny, ale postanowiła dać mu szansę. — Niech mi pan o tym opowie.

Jakiś mężczyzna w średnim wieku ubrany w luźne sztrukturalne spodnie dotknął jej palców.

— No i jak tam, moja droga?

— Świetnie — odpowiedziała. — Panie Cortone, to mój mąż, profesor Ashford.

— Miło mi. — Cortone spojrzał na łysinę mężczyzny i wyjątkowo źle leżące ubranie. Spodziewał się raczej kogoś w typie słynnego pułkownika Lawrence'a. Pomyślał, że Nat mimo wszystko może mieć nadzieję.

— Pan Cortone właśnie opowiada mi, jak Nat Dickstein uratował mu życie.

— Doprawdy? — zainteresował się Ashford.

— To niedługa historia — powiedział Cortone. Odnalazł wzrokiem Dicksteina, pochłoniętego rozmową z Hasanem i Rostowem. (Już z samych ich postaw można było odczytać, jakie każdy z tej trójki żywi przekonania. Rostow: szeroko rozstawione nogi, palec uniesiony w górę, jakby był nauczycielem, niezłomna wiara w dogmaty. Hasan: oparty o biblioteczkę, ręka w kieszeni, papieros w ustach — postawa wyrażająca zdecydowany dystans do tej międzynarodowej debaty nad przyszłością jego kraju jako do czysto akademickich rozważań. Dickstein: skrzyżowane na piersiach ręce, głowa pochylona w skupieniu i przygarbione plecy, ujawniające

niające napięcie absolutnie sprzeczne z beznamiętnym tonem jego głosu. — Brytyjczycy obiecali Żydom Palestynę — usłyszał głos jednego z nich. — Strzeż się podarunków od złodzieja — zripostował natychmiast drugi). Odwrócił się do Ashfordów. — Było to na Sycylii, niedaleko górskiego miasteczka Ragusa — zaczął opowiadać. — Zdobywaliśmy umocnienia na jego peryferiach. W niewielkiej dolinie, na północ od miasteczka, tuż przy kępie drzew natknęliśmy się na niemiecki czołg. Wyglądał jak porzucony, ale na wszelki wypadek wrzuciłem do środka granat. Wtedy rozległ się pojedynczy strzał i z drzewa zwałił się Niemiec z automatem. Ukrył się tam, żeby nas powystrzelać, gdy będziemy go mijali. Człowiekiem, który go zabił, był Nat Dickstein.

Oczy Eili zaiskrzyły się z podniecenia, ale jej mąż zbladł. Jasne, profesorowi nie w smak takie kawałki o życiu i śmierci, pomyślał Cortone. Jeśli nawet to cię zirykowało, papciu, lepiej, żeby Nat nie opowiadał ci nigdy o swoich przeżyciach.

— Brytyjczycy podeszli z drugiej strony — ciągnął. — Nat zauważył czołg — tak jak i ja — ale zwietrzył zasadzkę. Trafił snajpera i wypatrywał innych, kiedyśmy się zbierali do odjazdu. Gdyby nie był tak cholernie szybki, już bym nie żył.

Milczeli przez chwilę.

— To przecież było całkiem niedawno, a my tak szybko zapominamy — odezwał się Ashford.

Eila przypomniała sobie o innych gościach.

— Chciałabym jeszcze z panem porozmawiać, zanim pan wyjdzie — powiedziała do Cortonego i podeszła do drzwi prowadzących do ogrodu.

Ashford gładził nerwowo rzadkie włosy za uszami.

— Opinia publiczna dowiaduje się o wielkich bitwach — zauważył — lecz sądzę, że żołnierz najlepiej pamięta takie właśnie drobne potyczki, w których sam uczestniczył.

Cortone skinął głową. Pomyślał, że Ashford nie ma zielonego pojęcia o wojnie, i zastanawiał się, czy młodość profe-

sora była rzeczywiście tak awanturnicza, jak to przedstawił Dickstein.

— Potem wziąłem go ze sobą — mówił dalej — żeby poznał moich krewnych. Pochodzę z Sycylii. Jedliśmy spaghetti i piliśmy wino. Traktowali Nata jak bohatera. To trwało tylko kilka dni, ale czuliśmy się jak bracia, rozumie pan?

— Oczywiście.

— Kiedy usłyszałem, że dostał się do niewoli, pomyślałem, że już go nigdy nie zobaczę.

— Czy pan wie, co się z nim działo? — spytał Ashford. — Nie mówił o sobie zbyt wiele.

— Przeżył obóz.

— Miał szczęście.

— Tak pan myśli?

Ashford rozglądał się przez dłuższą chwilę po pokoju.

— Wie pan, to nie jest typowo oksfordzkie towarzystwo — powiedział w końcu. — Dickstein, Rostow i Hasan są raczej niecodziennymi studentami. Powinien pan poznać Toby'ego. To prawdziwy, klasyczny student. — Pochwycił spojrzenie rumianego młodzieńca w tweedowym ubraniu i bardzo szerokim krawacie. — Toby, chodź tu do nas, poznaj pana: to towarzysz broni Nata Dicksteina, pan Cortone.

Toby przywitał się.

— Czyżbym miał szansę usłyszeć jakąś plotkę prosto ze stajni? — zapytał obcesowo. — Czy Dickstein wygra?

— Co wygra? — spytał Cortone.

— Dickstein i Rostow mają rozegrać mecz szachowy — pośpieszył z wyjaśnieniem Ashford. — Panuje opinia, że obaj są piekielnie dobrzy. Toby sądzi, że ma pan jakieś informacje z pierwszej ręki. Najpewniej już chce przyjmować zakłady.

— Myślałem, że szachy to sport dla emerytów — oświadczył Cortone.

Toby westchnął z dezaprobatą i opróżnił swoją szklankę.



Obaj, on i Ashford, wydawali się zakłopotani uwagą Cortonego. Sytuację uratowała dziewczynka — cztero-, może pięcioletnia — która przyszła z ogrodu z burym kotem na rękach.

— To jest Suza — powiedział Ashford z mieszaniną dumy i pokory w głosie, jak każdy mężczyzna, który został ojcem w średnim wieku.

— A to Ezechiasz — przedstawiła wszystkim kota dziewczynka. Miała cerę i włosy matki. Kiedyś będzie tak samo piękna. Cortone zastanawiał się, czy naprawdę jest córką Ashforda. Jej uroda na to nie wskazywała.

— Jak się masz, Ezechiaszu? — zapytał i uprzejmie uściśnął łapę kocura.

Suza podeszła do Dicksteina.

— Dzień dobry, Nat. Chcesz się pobawić z Ezechiaszem?

— Jest bardzo ładna — powiedział Cortone do Ashforda. — Ale pan wybaczy, muszę pogadać z Natem — oświadczył i podszedł do Dicksteina, który klęczał i głaskał kota.

Nat i Suza wyglądali na dobrych kumpli.

— Suza, to mój przyjaciel Alan — dokonał prezentacji Nat.

— My się już znamy. — Dziewczynka zatrzepotała rękami. Cortone pomyślał, że musiała się tego nauczyć od matki.

— Byliśmy razem na wojnie — dodał Dickstein.

Suza spojrzała na Cortonego.

— Czy zabijałeś ludzi?

Wahał się przez chwilę, w końcu jednak odparł:

— Oczywiście.

— I to cię dręczy?

— Niespecjalnie. To byli źli ludzie.

— Ale Nata to dręczy. Dlatego nie lubi o tym mówić.

To dziecko wiedziało o Dicksteinie więcej niż wszyscy dorośli.

Kot zwinnie wyśliznął się z rąk Suzy, więc pobiegła za nim, zostawiwszy Dicksteina i Cortona.

— Nie powiedziałbym, żeby pani Ashford była nie do zdobycia — oświadczył Cortone.

— Nie powiedziałabyś...?

— Nie ma więcej niż dwadzieścia pięć lat. On jest przynajmniej o dwadzieścia lat starszy i założę się, że żaden z niego pistolet. Jeśli pobrali się przed wojną, musiała mieć jakieś siedemnaście lat. Poza tym nie wyglądają na zakonanych.

— Chciałbym ci wierzyć — mruknął Dickstein. Nie wydawał się zbytnio zainteresowany tym tematem. — Chodź, obejrzyj ogród.

Wyszli przez oszklone drzwi. Na dworze słońce świeciło mocniej i minął już ostry chłód. Ogród przypominał zielono-brązową puszcę i ciągnął się aż do brzegu rzeki. Odeszli kawałek od domu.

— Nie spodobało ci się zbytnio to towarzystwo — stwierdził Dickstein.

— Wojna się skończyła — odparł Cortone. — Teraz każdy z nas żyje w innym świecie. Ci profesorowie, partie szachów, przyjęcia z sherry... Równie dobrze mógłbym trafić na Marsa. Moje życie to robienie interesów, walka z konkurencją, zarabianie pieniędzy. Zamierzałem zaproponować ci robotę, ale chyba tracę czas.

— Alan...

— Posłuchaj, do diabła. Prawdopodobnie stracimy teraz kontakt. Nie bardzo nadaję się do pisania listów. Ale nie zapomnę, że zawdzięczam ci życie. Może kiedyś będziesz czegoś potrzebował. Wiesz, jak mnie znaleźć.

Stali za rozrośniętym żywopłotem, który odgradzał róg ogrodu; miał tu kiedyś powstać cały labirynt, ale prac nie dokończono. Kilka kroków dalej ściana zieleni załamywała się pod kątem prostym, wytyczając promenadę biegnącą wzdłuż rzeki. Nagle usłyszeli niski, gardłowy głos kobiety, dobiegający niewątpliwie z tamtej strony zarośli:

— Powiedziała „nie”! Idź do diabła, bo zacznę krzyczeć.

Dickstein i Cortone podbiegli do luki w żywopłocie.

Cortone nigdy nie zapomni tego widoku. Poczł, jak blednie, gdy zobaczył tych dwoje ludzi, a potem ujrzał twarz Dicksteina. Była szara, jak twarz ciężko chorego. Jego otwarte usta wyrażały przerażenie i rozpacz. Cortone jeszcze raz spojrział w stronę krzaków.

Kobietą w ogrodzie była Eila Ashford. Miała sukienkę podwiniętą do pasa, a twarz zarumienioną podnieceniem. Całowała Jasifa Hasana.